



fabryka słów®
WYDAWNICTWO



ADAM PRZECHRZTA



**DEMONY
LENINGRADU**

Spis treści

Karta tytułowa	
Depozytariusz Chorągwi Archanioła	
Rozdział pierwszy	
Rozdział drugi	
Rozdział trzeci	
Rozdział czwarty	
Rozdział piąty	
Rozdział szósty	
Rozdział siódmy	
Rozdział ósmy	
Rozdział dziewiąty	
Rozdział dziesiąty	
Rozdział jedenasty	
Posłowie	
Adam Przechrzta	
Książki Adama Przechrzty	
Karta redakcyjna	
Okładka	

ADAM PRZECHRZTA



DEMONY LENINGRADU

fabryka słów[®]

Lublin 2013

Depozytariusz Chorągwi Archaniola

1. Chorągiew Michała Archaniola
2. Białe noce
3. Demony Leningradu
4. Demony wojny – część 1

Dla Aldony



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Któraś ze sztabowych kurewek, chyba cystacka i dupczasta Dazdrapierma – miałem już dobrze w czubie, a powietrze zasnute było machorkowym dymem – podała pielkiemieni. Nie odmówiłem. Swoją drogą, trzeba być niezłym idiotą, aby wybrać dla dzieciaka imię pochodzące od zwrotu: *Da Zdrawstwujet Pierwoje Maja...* Nu, niczego – u nas, w Rosji, *durakow* nigdy nie brakowało. Wychyliłem kieliszek wódki, zakąsiłem niewielkim, oblanym śmietaną pierożkiem. Przez moment poczułem się syty. Gospodarz naszego małego przyjęcia, Wania Bondaruk, rznął na harmoszcze, od załadowanej trocinami, rozgrzanej do czerwoności kozy rozchodziło się ciepło, pachniała wódka, mięsiwa i perfumy dziewcząt. Tak jakby nie był to Leningrad 1942 roku. Co prawda już dwa miesiące wcześniej zwiększono racje chleba dla robotników do trzystu pięćdziesięciu gramów dziennie – cała reszta dostawała po dwieście, ale i tak ludzie umierali z głodu, dalej mnożyły się przypadki napadów w celu zrabowania żywności, przybywało ofiar kanibalizmu. Ba, żeby tylko tyle...

Ksenia, mała czarnulka w mundurze telefonistki, stanęła przede mną, zadrobiła nogami, zapraszając na parkiet. Zatańczyliśmy. Jakiś podpułkownik zwałił się mordą w talerz – znaczy niezła zabawa, gospodarz wódki nie żałuje, ktoś śpiewał do wtóru harmonii. Po dłuższej chwili zdyszany przysiadłem na ławie, poczęstowałem się kolejnym pierożkiem, oganiając niemrawo przed rozochoconą dziewczyną. Trochę, kurwa, nie honor, tyle że sztabowe dziwki rzadko wychodziły poza teren dowództwa, a ja musiałem krążyć po mieście, bywałem w domach, których mieszkańcy nie mieli nawet siły, by wynieść własne ekskrementy na zewnątrz – okien nikt nie otwierał, oszczędzając nagromadzone ze stłoczonych ciał, żałosne ciepło – więc wylewali je jak szło, na schody, i wokół

rozchodził się smród na wpół zamarzniętego gówna. O korzystaniu z usytuowanych na podwórzach wspólnych kibli nikt nawet nie myślał. Nie przy tej temperaturze, nie przy tych racjach żywnościowych. Ja nie głodowałem, choć zdarzało mi się nie dojadać – nic dziwnego, bywało, że nawet oficerowie NKWD umierali z niedożywienia – ale samo wyjście na zewnątrz przy temperaturze minus dwudziestu, a nierzadko trzydziestu stopni wysysało tyle energii, że na wiele spraw nie wystarczało wigoru. Tym bardziej że darzyłem już atencją mającą niczego sobie wymagania szefową oficerskiej kuchni, Nadię Elizarownę. Po chwili nadąsana Ksenia przykleiła się do wysokiego, muskularnego matrosa – ten mimo ciepła siedział w płaszczu, popijając wódkę szklankami. Pewnie wrócił biedaczysko z akcji. Ze względu na kolor mundurów i fakt, że marynarze atakowali, nie licząc się ze stratami, Niemcy nazywali ich „Czarną Śmiercią”. Dowództwo już od jakiegoś czasu wykorzystywało marynarzy Floty Bałtyckiej do operacji lądowych, na wszelki wypadek rozmieszczając za ich plecami oddziały zaporowe mające strzelać do każdego, kto odważyłby się zawrócić. No to się nie cofali. Głupio jakoś ginąć od kul swoich, a wiadomo, że NKWD zidentyfikuje ciała zabitych uciekinierów i zajmie się troskliwie ich rodzinami... Matros miał stopień kapitana, ja nosiłem na sobie mundur porucznika z oznaczeniami wojsk łączności. Gdyby nie to, że Wańka mnie lubił, nie załapałbym się na zabawę, za wysokie progi. W rzeczywistości byłem majorem *wojennoj razwiedki*, jednym z nielicznych, jacy ostali się po Wielkiej Czystce. Tyle że obecnie w błyskawicznym tempie odbudowywano wywiad wojskowy. Nasz Głównodowodzący, ojczulek Stalin, nie był głupi i szybko zauważył, że armii brakuje rzetelnych danych wywiadowczych. No bo kto miał je zbierać? – przecież nie matoly z NKWD.

Wychyliłem kolejny kieliszek, po kościach rozlało się miłe ciepło, skosztowałem gulaszu. Poczułem w ustach charakterystyczny słonawy smak. Kurważ jego mać! Ludzina. Jedna z dziewczyn popatrzyła na mnie spod oka – może kokietuje, a może... Trzeba się pilnować, za kanibalizm, świadomy kanibalizm groziła kara śmierci. Wielu milicjantów i agentów NKWD zginęło już z rąk ludojadów: silniejszych, bardziej sytych, bezlitosnych, bo wiedzących świetnie, co ich czeka w razie wpadki. No gap się, panienko, gap... Podniosłem do ust kolejną łyżkę, przełknąłem jakoś, popiłem wódką. My, z *wojennoj razwiedki*, mamy w emblemacie nietoperza, nie miecz jak NKWD. Nie udajemy, że walczymy z mrokiem, sami jesteśmy jego częścią. A ludzkiego mięsa próbowałem już wcześniej – taka praca. Kobieta uśmiechnęła się do mnie, odwróciła wyraźnie uspokojona. Poczekaj, kochanie, jeszcze o tym porozmawiamy, na pewno porozmawiamy, pomyślałem mściwie.

Wstałem i zataczając się lekko – w sumie nie musiałem specjalnie udawać, wypilem z pół litra – podszedłem do raczącego się szaszłykiem Wańki.

– Hej, kim jest tamta dziewczucha? – Szarpnąłem go lekko za rękaw, pokazując ruchem głowy kobietę.

Teraz tańczyła walca z łysym lotnikiem do wtóru muzyki z patefonu. Wania beknał przeciągle, podniósł czerwoną, obrzmiałą od alkoholu twarz. Musiał nieźle się starać, by wyrównać zaległości – harmonię odłożył parę minut temu.

– Gdzie? – wybełkotał.

– Na godzinie dwunastej – warknąłem zniecierpliwiony.

Zbystrzał nagle, wytężył zmętniały wzrok.

– A, ta – mruknął. – Uważaj, to dupa pułkownika Bieliajewa. Jest o nią zazdrosny – zarechotał.

Wzruszyłem ramionami, nie miałem zamiaru wikłać się w romanse. A jeśli zapoznam się z dziewczuszką służbowo, Bieliajew uda, że nigdy o niej nie słyszał. Przynajmniej o ile dochodzenie nie wykaże, że trzeba zająć się bliżej także panem pułkownikiem...

– Jak się nazywa?

– Wiera Jakaśtam – oznajmił, ziewając.

– Dzięki, baw się dobrze. – Pożegnałem go przyjacielskim klepieniem.

Pomaszerowałem do przedsionka i założyłem kozuch, wcisnąłem na uszy ciepłą futrzaną czapkę, dodatkowo obwiązując głowę babskim szalem. Teraz w Leningradzie liczyło się tylko przeżycie, nikt nie pilnował przestrzegania przepisów ubiorczych. Zresztą ktoś mógłby to zrobić? Patrol żandarmerii? Milicja? O drugiej w nocy? Wolne żarty. Miesiąc temu, w styczniu, odnotowano, że z zimna zmarło niemal dwustu milicjantów.

Wyszedłszy, musiałem zacisnąć usta, pochyliłem głowę; silny, lodowaty wiatr niemal pozbawił mnie tchu. Gmerając niezgrabnie w prawej kieszeni kozucha – miała rozcięcie, przez które łatwo sięgnąć do kabury pistoletu – upewniłem się, że broń jest odbezpieczona. Na samotnych przechodniów czyhali bandyci starający się zabrać ofiarom żywność, zdarzały się też morderstwa dla mięsa, ludzkiego mięsa. W grudniu aresztowano za ludożerstwo niecałe trzydzieści osób, w styczniu już ponad trzysta, do połowy lutego – pięćset. A był to jedynie wierzchołek góry lodowej... Wracając do domu w tumanach zacinającego w twarz śniegu, rozmyślałem o swojej misji, o kanibalach. Nie, nie chodziło o zwykłych ludożerców, tymi zajmowała się milicja, a w przypadku zorganizowanych band – NKWD. Ja miałem odnaleźć kogoś szczególnego, przywódcę grupy – a może sekty? – antropofagów. Człowieka, który organizował napady na patrole i odosobnione posterunki wojskowe, szerzył terror na linii frontu, mordował żołnierzy. Dlatego właśnie to zadanie powierzono *wojennej razwidce*. Nie dalej jak przedwcześniej na ziemi niczyjej, pomiędzy liniami naszymi i Niemców, znaleziono trzech martwych żołnierzy z elitarniej Wydzielonej Brygady Piechoty Morskiej Floty Bałtyckiej. To byli weterani: sprawni, odważni, doświadczeni. Łuski po wystrzelonych pociskach świadczyły, że podjęli walkę z tym, co ich zabiło, jednak w ruinach, gdzie założyli posterunek obserwacyjny, znaleziono jedynie ich krew – tak jakby napastnika nie miały się kule. No i, rzecz jasna, natknięto się na ciała, wszystkie pozbawione serc. Kilka minut po strzelaninie na

miejscu zjawił się wzmocniony patrol – piechota morska dbała o swoich – lecz nie wykryto żadnych intruzów, tylko pojedyncze ślady na śniegu. Dwieście metrów dalej zniknęły w śnieżnej zadymce. Inny niedaleko położony posterunek zameldował, że nikt nie powrócił do niemieckich okopów, rozgardiasz i gorączkowo wystrzeliwane po szwabskiej stronie flary oświetlające – rzecz miała miejsce po północy – świadczyły, że tamci byli równie zaskoczeni. Czy tak samo zaniepokojeni? Być może tajemniczy kanibal działał także po drugiej stronie frontu? To również musiałem wyjaśnić, choć priorytetem było powstrzymanie morderców ludojadów. Żołnierze zaczęli się bać, szeptano o ludożercach, których zabić może jedynie poświęcona lub srebrna kula, ograniczono aktywność patroli, co samo w sobie było rzeczą niedopuszczalną, skądś wypłynęła nazwa Dostonali. Co oznaczała? Tego nie wiedział nikt.

Tuż przed bramą kamienicy, w której mnie zakwaterowano, zamajaczył jakiś potężny cień. Cofnąłem się odruchowo, usiłując zdrętwiałą z zimna dłonią wyciągnąć broń. Powstrzymał mnie uspokajający gest – poznałem Riumina, jednego z przydzielonych mi do pomocy agentów *wojenno-jaszczurki*. Otworzył solidne wierzeje, już w korytarzu uniósł postawioną na schodach lampę naftową, poświecił.

– Dobrze, że wróciliście, majorze – mruknął. – Natknęliśmy się na mały problem.

Nie odpowiedziałem; szczękając zębami, dopadłem przedpokoju, dwaj inni moi ludzie, Pietia Drozd i Tima Kotuszew, pomogli mi ściągnąć kożuch, podali gorącą, słodką jak ulepek herbatę.

– Gadaj! – poleciłem po chwili Riuminowi.

Tamten bez słowa wyszedł z pokoju, powrócił, popychając przed sobą jakieś wychudzone, opatulone po czubek nosa stworzenie.

– Nie kazałem jej się rozbierać, bo jest przemarznięta, znaleźliśmy dziewczuchę, kiedy patrolowaliśmy okolicę, chowała się w jednej z piwnic – wyjaśnił.

– Ją? – Uniosłem pytająco brwi.

– To córka dozorczyń, jej matka zmarła miesiąc temu, mieszkały na parterze, niedawno ktoś wyważył drzwi i splądrował mieszkanie. A zatrzymałem panienkę, bo wyglądało, jakby nas szpiegowała, ale... – urwał, krzywiąc się wymownie.

Ponownie zwróciłem wzrok na okutaną w stare łachy postać.

– Ściągnij to z niej – rozkazałem.

Riumin zdarł z nieznajomej jakieś bynajmniej nie wytworne palto, gwizdnął z lekka, widząc pod spodem futro z soboli.

– Mądra dziewczynka – powiedziałem z uznaniem. Gdyby nałożyła futro na wierzch, już dawno ktoś by ją zabił.

– Sobole, *komandir*? – wtrącił się Drozd. – To takie... kontrrewolucyjne. Coś mi tu śmierdzi – oznajmił.

– Mnie też – odparłem, powstrzymując gestem Riumina, który zaczął rozpinać wiszące na dziewczynie zbyt obszerne futro. – Zostaw, bo zasmrodzi nam cały

dom.

Znajda wyraźnie cuchnęła – nic dziwnego, zapewne chodziła w tych samych łachach ładne parę tygodni, może dłużej.

– Kąpiel? – spytałem.

– Gotowa – zameldował dziarsko Drozd.

Podreptałem do łazienki, nieco drętwymi jeszcze dłońmi zdjąłem ubranie, mundur złożyłem starannie na wyszabrowanym skądś krześle o zdobionym, wysokim oparciu i z westchnieniem ulgi zanurzyłem się w gorącej wodzie. Na brzegu okazałej, przedrewolucyjnej wanny znalazłem nawet kawałek pachnącego bżem mydła. Z jednej strony gorąca woda była luksusem, bo brakowało opału, z drugiej – pozwalała utrzymać się w jakim takim zdrowiu. Nasz przydział pozwalał na gorącą kąpiel raz na kilka dni, choć musieliśmy się moczyć w tej samej wodzie. No, ściślej mówiąc, po mnie kąpali się chłopcy – jeden z przywilejów rangi... Czasem któryś trafiał na coś ekstra; ostatnio mój imiennik, Sasza Riumin, znalazł na nieodległym podwórzu orzech. Poradził sobie z drzewem w pojedynkę, a pocięte fachowo polana przytargał do naszej kwatery – umieściliśmy je w przedpokoju, chomikując na specjalne okazje, jak dziś. Zbyt długie okresy wychłodzenia skutkowały zapaleniem płuc, do czego przyczyniała się też skąpa w kalorie dieta.

Moczyłem się jakieś pół godziny, od czasu do czasu dolewając blaszanym czerpakiem na długiej drewnianej rączce nieco wrzącej wody – gotowała się w wiadrze stojącym na własnej roboty piecyku. To właśnie wszelkiego rodzaju „burżujki” i „kozy”, jak leningradczycy nazywali podobne samoróbki, utrzymywały ludzi przy życiu. No, przynajmniej tych, którzy mieli co wrzucić do pieca... Z niechętnym stęknieniem wygramoliłem się z wanny, sięgnąwszy po ręcznik, zawołałem dziewczynę. Po chwili pojawiła się w łazience, ponaglana przez Timę Kotuszewa. Zatrzasnąłem drzwi, aby zatrzymać ciepło, nonszalanckim gestem nakazałem się rozebrać.

– Kąpiel? – zaproponowałem.

Zadrżały jej wargi, zaczęła gorączkowo szarpać się z futrem. Cóż, dziewczica skromność – załóżmy, że była dziewczicą – musiała ustąpić desperackiemu pragnieniu ogrzania się. Po raz pierwszy od nie wiadomo jak dawna. Zrzuciła futro, zdarła parę warstw ubrań, z obrzydzeniem na twarzy cisnęła w kąt brudną bieliznę. Znaczący wybredna... Czyżby jakaś niedotłuczona arystokratka? Nie, doszedłem do wniosku, jest na to zbyt młoda. Dałbym jej co najwyżej dwadzieścia lat. Zanurzyła się w wodzie, wydając zdławione, niemal erotyczne westchnienie rozkoszy. Wreszcie ciepło... Rozumiałem ją. Tropiłem sektę kanibali już drugi miesiąc, niepewny, czy prędzej wykończy mnie głód, czy mróz. Zerknąłem na dziewczynę – była wychudzona, ale sporo brakowało jej do żywych szkieletów, jakie oglądałem na co dzień w Leningradzie. Być może ktoś jej pomagał, a może była sprytniejsza, niż się na pozór wydawało? Krzywiąc się lekko, rozgarnąłem brudne ubrania – na szczęście niezawszone, zerknąłem na metkę przy futrze.

Przedrewolucyjna. Znaczy i metka, i futro, teraz takich nie robią. Mydląca bez skrępowania drobne piersi dziewczyna spojrzała na mnie z przestachem, domyśliła się, co robię. Nie odezwałem się ani słowem, odwróciłem do lustra, ogoliłem. Niech się trochę pomartwi, nie zaszkodzi jej to, a mnie ułatwi przesłuchanie. Riumin był starym wyjadaczem, jeśli zatrzymał dziewczuchę, musiał mieć jakiś powód. Zresztą pogadać zawsze warto, może powie coś ciekawego?

Wróciłem do kuchni, ze względu na opalaną węglem kuchenkę było tu najcieplej, zasiadłem za stołem.

– Na chuj nam ta mała? – rzuciłem do Riumina. – Podupczyć chcesz czy co?

Drozd i Katuszew poszli spać, nie potrzebowałem ich już dzisiaj, dlatego nie owijałem w bawełnę, znaleźliśmy się z Saszką zbyt długo, by utrzymywać dystans dowódca – podwładny. Zresztą nigdy nie byłem zwolennikiem nadmiernych formalności. Dopóki moi ludzie wiedzą, kto wydaje rozkazy, wszystko jest w porządku.

– To miejscowa, jako córka dozorczyń mogła pomagać matce, zna wszystkie okoliczne zakamarki. Cmentarz, na którym parę tygodni temu znaleziono pozbawione serca zwłoki grabarza, jest niedaleko, z pół kilometra stąd. Może ma jakieś informacje na ten temat? – odparł ze słabym uśmiechem.

Widziałem po nim, że kręci, musiało być coś jeszcze. Oczywiście mogłem mu nakazać, by powiedział, co wie, ale mróz i niedożywienie wpływały nie tylko na ciało, otepiały także umysł. A od sprawności tego ostatniego zależało nasze życie, w dużo większym stopniu niż od stanu mięśni. Dlatego włączyłem się do gry.

– Dlaczego ukrywała się w piwnicy? – zapytałem. – Miała przecież do dyspozycji mieszkanie. Najwyżej po śmierci matki kogoś by jej dokwaterowali.

Przelotny błysk w oczach Riumina podpowiedział mi, że trafiłem.

– Bała się – wyjaśnił obojętnym na pozór tonem.

– Wywalili drzwi... – mruknąłem z namysłem. – Jak to zrobili?

– Toporkami strażackimi, może siekierami.

– Widać nie obawiali się hałasu...

Riumin przytaknął bez słowa.

– Jakaś miejscowa banda? – zgadywałem. – Chcieli zabrać jej jedzenie?

Pokręcił przecząco głową.

– Od paru dni nie zgłosiła się do sklepu po przydział, dojadła resztki.

Sapnąłem zniecierpliwiony.

– Więc? – zapytał kpiąco. – Poddajesz się?

– Widziała, jak mordowali grabarza? Zabójcy chcieli ją...

– Nie, nie widziała samego morderstwa. Pytałem – wszedł mi w słowo.

– Uch, ty... – warknąłem, szturchając Riumina w bok.

Zarechotał.

– No dobra, powiem ci – zdecydował. – Pochodziłem trochę po lokatorach, rozpytywałem o te drzwi.

– I?

– Nikt nic nie widział, niczego nie słyszał. Najlepsze jest to, że miejscowi obywatele, blednący na samą wzmiankę o mieszkaniu na parterze, niemal srali ze strachu, kiedy z głupia frant połączyłem to z cmentarzem. Rozumiesz, nie z samym morderstwem, o tym nic nie wiedzą, tylko z cmentarzem. A ta mała wolała umrzeć z głodu, niż wrócić do domu.

– Zastanawiające – przyznałem. – Żadna rewelacja, ale zastanawiające.

– A ty masz coś lepszego? – rzucił zaczepnie.

– Gulasz z ludziny na przyjęciu u majora Bondaruka. I dziewoję, która mało nie zabiła mnie wzrokiem, podejrzewając, że coś zauważyłem – poinformowałem z uśmiechem podwładnego.

– Nic ciekawego. – Wzruszył ramionami. – Ot, jedna kanibalka więcej.

Obaj wiedzieliśmy, że dwie trzecie osób aresztowanych za ludożerstwo stanowiły kobiety.

– Ludzina na przyjęciu u sztabowców?! – parsknąłem pogardliwie. – Oni nie głodują. Jeśli ktoś zaserwował tam ludzkie mięso, to nie z konieczności, ale dlatego, że chciał.

– Może, może... – mruknął niezdecydowanie. – Tyle że my nie szukamy chorego na umyśle maniaka, który napawa się kanibalizmem, czy nawet pogrywa z milicją w „złapcie mnie, jeśli potraficie”. Szukamy mistrza, guru.

Machnąłem lekceważąco ręką – kiedy dyskusja staje się dla niego niewygodna, Riumin zaczyna używać trudnych słów, taki odruch obronny. Już od dawna nie robił na mnie wrażenia. Zresztą wiedziałem, co znaczy słowo „guru”. No, tak mniej więcej...

– Znaczy półnagięgo fakira z... – zacząłem, przywołując z pamięci jakieś mętne skojarzenie, może rysunek z dawno zapomnianej gazety.

– Słowo „guru” oznacza to samo co mistrz – przerwał mi bezceremonialnie – ale sugeruje, że jego zwolennicy są bardziej wyznawcami niż uczniami.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, obaj skończyliśmy wyższe studia – Saszka jeszcze przed rewolucją. Czasem zastanawiałem się, czy różnica pomiędzy nimi polegała jedynie na tym, że Riumin nie miał wykładów z marksizmu-leninizmu...

Zadumę przerwały nam ciche stąpnięcia – do kuchni weszła dziewczyna. Wykapana, z umytymi włosami, ociekająca wodą. Najwyraźniej nie odważyła się użyć żadnego z naszych ręczników, a brzydziła wycierać własnymi brudnymi łachami. Przerażliwie chuda, z widocznymi gruzłowatymi stawami kolanowymi, sterczącymi żebrami i kępką jasnych włosów w kroczu. Skrajnie wyczerpana, niczym nie zasłaniała swojej nagości. Nie żeby budziła w którymś z nas bestię – niedostatek kalorii skutecznie ograniczał popęd płciowy. Nie sądziłem, żeby nasza reakcja była inna, nawet w stosunku do kogoś dużo ładniejszego i bardziej... odkarmionego. Riumin podniósł się ze stęknieniem i wrócił po chwili, niosąc stertę ubrań.

– Możesz się tym wytrzeć – powiedział szorstko, rzucając starą flanelową

koszulę.

Resztę położył na krześle: ciepłe kalesony, spodnie, dwie koszule i gruby wełniany sweter.

– To dla ciebie – oznajmił.

Wytarła się i ubrała w błyskawicznym tempie, widać było, że kąpiel jej dobrze zrobiła, rozgrzała zesztywniałe od zimna stawy. Wskazałem dziewczynie krzesło, Riumin poczęstował hojnie osłodzoną herbata.

Odesławszy Saszkę do łóżka, patrzyłem bez słowa, jak znajda łyka łapczywie gorący płyn, grzeje dłonie o poobijany blaszany kubek.

– Chodźmy spać – mruknąłem wreszcie, widząc, że skończyła.

Herbata i ciepła kąpiel powinny jej umożliwić spokojny sen, karmienie dziewczyny nie miało sensu, po porodniowym poście pewnie by się porzygała. Wziąwszy ją za rękę, zaprowadziłem do swojego pokoju, wskazałem zarzuconą pierzynami kanapę. Ściągnęła wierzchnią warstwę ubrań, posłusznie wślizgnęła się pod piernaty, po chwili przytuliłem się do jej pleców. Nie, nie miałem zamiaru jej wykorzystać! – w tym momencie była dla mnie tylko dodatkowym źródłem ciepła. Pewnie każdy z chłopaków chętnie wziąłby ją do łóżka z tych samych powodów, ale ranga ma swoje przywileje...

Dotknąłem dłonią szyi dziewczyny, położyłem palce na tętnicy.

– Dlaczego uciekłaś z mieszkania? – wyszeptąłem.

Poruszyła się niespokojnie, jednak tętno pozostało niemal bez zmian – była na granicy snu: śmiertelnie zmęczona, po raz pierwszy od dłuższego czasu względnie syta, ogrzana, bezpieczna.

– Bałam się ludojadów – powiedziała cichutko.

– Dlaczego?

Poczekąłem paręnaście sekund, ale czując, że zasypia, nacisnąłem nerw pod uchem. Nie na tyle, by sprawić ból, lecz wystarczająco, żeby wybić ze snu.

– Matka... matka ich podsłuchiwała. Na cmentarzu. Mówili o jakiejś ceremonii... Nie, nie wiem nic więcej – zapewniła sennym głosem. – Mama strasznie się ich później bała.

– Zabili ją? – spytałem ostro.

– Nie, była chora na serce. Któregoś dnia...

Stłumiłem te słowa, kładąc palce na ustach dziewczyny. Nie chciałem, by opowiadała mi historię swojego życia. Nie teraz.

– Dlaczego uciekłaś?

– Chyba się domyślili, że mama o nich wie. Przyszli, bo nie byli pewni, czy mi czegoś nie powiedziała przed śmiercią, więc...

– Zaczęli się dobijać do drzwi i uciekłaś? Jakim cudem?

Odpowiedziało mi lekkie pochrapywanie. Zatkąłem znajdzie nos, póki się nie ocknęła.

– W jaki sposób im się wymknęłaś? – powtórzyłem.

– Zobaczyłam... zobaczyłam ich przez okno. Nadchodzili z siekierami, otaczali

dom. Zanim weszli w bramę, uciekłam do piwnic.

– Skąd wiedziałaś, że to kanibale?!

– Byli w cienkich koszulach, bez płaszczy, bez czapek. Mama mówiła, że oni nie boją się zimna. Nie boją się niczego... Są... dokonani.

– Doskonali – poprawiłem odruchowo, a potem pozwoliłem dziewczynie usnąć.

Wreszcie otrzymałem jakąś sensowną informację – ktoś, kto w czasie trzaskających mrozów chodzi bez ciepłego okrycia czy czapki, wyróżnia się jak fioletowa żyrafa na promenadzie. Nietrudno będzie takich znaleźć. Byłem całkowicie pewien, że chodzi tu o „moich” kanibali. Ci zwykli nie odznaczali się specjalną tolerancją na zimno, sprawdziłem to osobiście – czterech z nich skłoniłem do zeznań, polewając wodą na mrozie. Sinieli i umierali z wychłodzenia jak zwykli ludzie. Ziewnąłem i przytuliwszy się do dziewczyny, zasnąłem smacznie, czując woń bzu i świeżo umytych włosów.



Po śniadaniu rozdzieliłem robotę, wokół unosił się jeszcze zapach dziwnej, upichconej przez najmłodszego stopniem i wiekiem Timę potrawy. Składała się z amerykańskich konserw mięsnych wymieszanych z jajkami w proszku... Nie powiem, żeby było co chwalić, ale przynajmniej pozwalała nasycić głód. Zagryźliśmy cienkimi jak papier, oszczędnie krojonymi kromkami chleba, łyknęliśmy wódki. Odrobinę, na rozgrzewkę. Pospiesznie upichcona breja nie wymagała długiego podgrzewania, więc kuchenka nie zdążyła podnieść temperatury w mieszkaniu. Było minus pięć stopni Celsjusza. Wewnątrz. Na umieszczonym za oknem termometrze słupek rtęci spadł poniżej dwudziestu siedmiu.

– Pietka, szoruj do biblioteki i archiwum – zarządziłem. – Dalej będziesz sprawdzał gazety i kroniki, może natrafisz na przypadki rytualnego kanibalizmu w Leningradzie.

Drozd jęknął boleśnie, wyrzucając wyraźnie widoczny w powietrzu obłoczek pary – miał już serdecznie dość grzebania w papierach, zajmował się tym od kilku tygodni, jak dotąd bez rezultatu.

– Tima – spojrzałem na krótko ostrzyżonego chłopaka – odbierzesz nasze racje żywnościowe, przy okazji weźmiesz te zaległe od niej. Bo masz je przy sobie, prawda? – spytałem, zwracając się do dziewczuchy.

Potwierdziła skinieniem głowy. Nie byłem zdziwiony, w Leningradzie ludzie nigdy i pod żadnym pozorem nie rozstawali się z kartkami żywnościowymi. Zgubić je oznaczało umrzeć.

– Dasz mu swoje kartki – poleciłem. – U niego będą bezpieczniejsze.

Pokiwała posłusznie głową, cały czas wpatrując się tęsknym wzrokiem

w owinięty w papier kawałek razowca.

– I żadnego żarcia do obiadu! Jak się pochorujesz... – zawiesiłem złowrogo głos.

Zerknęła na mnie z przestrachem, przytaknęła gorliwie.

– Potem jeszcze raz opowiesz Timie o tych ludojadach. Tak jak mnie wczoraj, tylko ze szczegółami.

– Dobrze – odparła cicho.

W ogromnych, zdawało się, zajmujących większość trójkątnej, kociej twarzy oczach dziewczyny po raz pierwszy dojrzałem przebłysk nadziei.

– Saszka pójdzie ze mną, musimy przesłuchać pewną wielbicielek gulaszu z ludziny – zakończyłem.

Nie było pytań, więc rozeszliśmy się do pracy. Maszerowaliśmy wraz z Riuminem energicznym krokiem, starając się do minimum ograniczyć przebywanie na mrozie. Do sztabu mieliśmy jakieś trzy kilometry. Musieliśmy ustalić personalia tajemniczej Wiery, pogadać z kimś z NKWD. Chciałem, żeby to oni aresztowali kobietę, na tym etapie wołałem się nie demaskować. Z drugiej strony jako major GRU na pewno otrzymałbym do dyspozycji wóz z kierowcą... Rozmyślałem o tym całą drogę, oddychając przez zasłonięty szalikiem nos, niewiele to pomagało, i tak mroźne powietrze paliło żywym ogniem śluzówkę.

Machnąwszy dokumentami przed oczyma znajomego wartownika, weszliśmy do westybulu, starannie otrzepując śnieg z butów. Siedząca za kontuarem kobieta w zarzuconej na mundur pelisie obojętnie uniosła głowę.

– Słucham, poruczniku?

– Jestem umówiony z generałem Manuilem – powiedziałem.

Przerzuciła kilka kartek, pokręciła głową.

– Nie mam was w wykazie wizyt na dzisiaj. Napiszcie, towarzyszu, raport do swojego bezpośredniego przełożonego, on...

– Proszę zadzwonić do generała – przerwałem szorstko.

Poczerwieniała ze złości, nie przywykła, by ustawiał ją byle poruczniczyna, ale powstrzymała cisnące się na usta słowa. Manuilewski stał na czele referatu personalnego, zajmował się aktami oficerów, był sztychą. Prawdopodobieństwo, że będzie chciał gadać z nikomu nieznanym porucznikiem, było niewielkie, jednak konsekwencje pomyłki mogły okazać się poważne – istniały dużo gorsze przydziały niż praca w sztabie, więc panienska ostatecznie podniosła słuchawkę. Nie bałem się o wynik telefonicznej konsultacji, generał został poinformowany, że prędzej czy później złoży mu wizytę.

– Drugie piętro, pokój trzysta dwanaście – poinformowała po chwili dużo pokorniejszym tonem.

Machnięciem ręki nakazałem Riuminowi pozostać na parterze, sam popędziłem w górę po schodach. Tchu zabrakło mi już na pierwszym piętrze, resztę drogi przebyłem stopień po stopniu, trzymając się poręczy. Mimo że od śniadania minęła co najwyżej godzina, czułem w żołądku potworne ssanie. Dopadła mnie

jedna z wyniszczających Leningrad plag – głód.

Zapukałem i poczekawszy na wezwanie, wszedłem do gabinetu generała. Manuilski, szczupły, siwy mężczyzna pod sześćdziesiątkę, przywitał się ze mną serdecznym uściskiem dłoni, ale widoczny na jego twarzy szeroki uśmiech nie obejmował oczu.

– W czym mogę pomóc, poruczniku? – zagał.

– Majorze – poprawiłem, pokazując dokumenty. – Prowadzę śledztwo w sprawie ataków na żołnierzy, wiecie, towarzyszu generale, tych rytualnych.

Skinął ze sposepniałą nagle twarzą, co prawda starano się całą sprawę utrzymać w tajemnicy, ale ludzie, jak to ludzie – plotkowali, zresztą Manuilski miał zapewne dostęp do najbardziej nawet tajnych informacji.

– Jak mogę pomóc? – powtórzył, wskazując mi krzesło, sam zasiadł za biurkiem.

– W zasadzie potrzebuję jedynie pomocy przedstawiciela NKWD – poinformowałem. – Z dostępem do akt personalnych oficerów. Macie tu kogoś takiego, prawda? Bezpieczeństwo sztabu wymaga...

Przerwał mi gestem, sięgnął po telefon.

– Towarzyszu Kutiepow, proszę do mnie – rzucił szorstko w słuchawkę. – Koniaku, majorze? – zaproponował.

– Odrobinę, nie chciałbym się spać na służbie – odparłem z krzywym uśmiechem. – Racje żywnościowe porucznika nie są zbyt obfite – wyjaśniłem, widząc uniesione brwi rozmówcy. – A na pusty żołądek...

– No tak, wasz kamuflaż... – mruknął w zamyśleniu.

Wystawił na biurko butelkę gruzińskiego koniaku, rozlał do kryształowych kieliszków, wyjąwszy z szafki puszkę kawioru i kilka kromek razowego chleba, zaprosił gestem do poczęstunku.

– Za GRU! – wzniosł toast, używając stosowanej od niedawna nazwy *wojennoj razwiedki*.

– Za armię! – odwzajemniłem się, unosząc szkło.

– To dobrze, że armia prowadzi śledztwo dotyczące armii – odezwał się po chwili. – NKWD jest czasami zbyt... – nie dokończył, zacisnąwszy usta. – Proszę się nie krępować – powiedział, widząc, jakim spojrzeniem obrzucam chleb. – Mamy czas. Mimo że towarzyszu Kutiepow ma gabinet w końcu korytarza, raczej nie należy się go spodziewać wcześniej niż za kwadrans – oznajmił kwaśno.

Mruknąłem coś niezobowiązująco, pochłaniając żarłocznie obłożoną kawiozem kromkę. Manuilski jak wielu innych wojskowych miał nadzieję, że *Gławnoje Razwiedywatielnoje Uprawlenije* stanie po stronie armii w ewentualnym starciu z bezpieką. Nie miałem zamiaru rozwiewać jego złudzeń, ale musiałbym być idiotą, aby dążyć do konfrontacji z NKWD. Ono mimo wielu niepowodzeń nadal było potęgą, *wojennaja razwiedka* walczyła o prawo do istnienia.

– Zapewne musi się pan wyprawiać w miasto, majorze, przy tej temperaturze... – zawiesił głos, spoglądając na mnie z pytaniem w oczach.

Przytaknąłem, zastanawiając się, dlaczego zamiast obowiązującej formy „towarzyszu” użył słowa „gospodin”. *Gospodin major* – to brzmiało jak przed rewolucją... Wyraz sympatii? Solidarność oficera armii z drugim oficerem, a może niechęć do NKWD?

– Mógłbym oddelegować pana czasowo do sztabu, przyznać wóz z kierowcą i...
– zawahał się – racje żywnościowe przysługujące majorowi sztabu. Tyle że pobranie tego przydziału pewnie by was zdekonspirowało...

– Niekoniecznie – odparłem po namyśle. – Mógłbym realizować swoje kartki żywnościowe bezpośrednio w kuchni oficerskiej, jej szefowa jest moją dobrą znajomą.

– Tak, to chyba niezły pomysł – przyznał.

Wypełnił szybko dwa wyjęte z szuflady formularze, podpisał i przybiwszy pieczętkę, przesunął w moją stronę. Jeden z nich stwierdzał, że jestem oficerem do specjalnych poruczeń generała Manuilskiego, w związku z czym przysługuje mi prawo do korzystania z samochodu służbowego, drugi – upoważniał do pobierania racji żywnościowych majora sztabu Leningradzkiego Okręgu Wojskowego.

Zanim zdążyłem podziękować, rozległo się pukanie i do gabinetu wszedł krępy oficer o chłodnych niebieskich oczach.

– Pułkownik Kutiepow, na rozkaz – zameldował się, stuknąwszy obcasami.

– Spocznijcie, towarzyszu – odparł zimnym jak wzrok tamtego głosem Manuilski.

Kutiepow rozejrzał się po pomieszczeniu i przysunąwszy do biurka krzesło, przysiadł na nim, nonszalancko zakładając nogę na nogę.

– Czym mogę służyć, generale? – zapytał z podszytą drwiną uprzejmością. – A raczej czym może wam służyć NKWD?

Dłonie, zdumiewająco delikatne i zadbane, jak na przedstawiciela mas pracujących w *Narodnym Komissariatie Wnutriennich Dieł*, pułkownik złożył skromnie na podółku, nie gestykulował jak jarmarczny kuglarz, nie musiał. Zapewne dokonywał wielokrotnie sztuczek, które nie przyszłyby do głowy najwybitniejszemu nawet prestidigitatorowi. Był lepszy niż cyrkowy magik i wiedział o tym. Kiedy chciał, aby ktoś zniknął, nie stosował sprytnych trików, nie używał zapadni. Znał inne sposoby... Westchnąłem – moje marzenie, aby nie wchodzić w drogę reprezentowanej przez niego instytucji, gwałtownie zderzyło się z rzeczywistością. Kutiepow nie wyglądał na kogoś, kto chciałby mi pomóc w prowadzeniu śledztwa. Niemniej jednak jego pomoc była mi niezbędna, nie miałem sił i środków, żeby doprowadzić je samodzielnie do końca.

– Kiedy widzicie, towarzyszu, tak naprawdę to waszej pomocy potrzebuje bratnia służba – wymamrotał, udając roztargnienie, Manuilski. – GRU – dorzucił.

Ostatnie słowo zabrzmiało niczym trzaśnięcie z bicia.

– Jestem pewien, że bez problemu dopracujemy... eee... szczegóły – odparł bez mrugnięcia okiem enkawudzista.

Na przyzwalający gest generała odmeldowaliśmy się i opuściliśmy gabinet.

Najwyraźniej Manuilski miał zamiar kibicować mi z bezpiecznej odległości...

Po chwili znowu siedziałem w cudzym gabinecie – zza biurka mierzył mnie wzrokiem Kutiepow, z wiszącego na ścianie portretu czujnie spoglądał Dzierżyński. Stojące wzdłuż ścian regały wypełniały akta. Tym razem gospodarz nie zaproponował poczęstunku, nie uśmiechnął się, czekał.

– Potrzebna miteczka pułkownika Bieliajewa, wykaz znajomych, kochanek, przyjaciół – zagailem.

– Nie macie własnej? – zdziwił się obłudnie Kutiepow. – Coś takiego nie wystawia najlepszego świadectwa...

Przerwałem mu ospałym gestem, podsunąłem pod nos wyjęty z kieszeni munduru dokument.

– Przeczytajcie – poprosilem.

Wziął papier bez specjalnego zainteresowania, prześlizgnął się wzrokiem po tekście, niemal niedostrzegalnie wzruszył ramionami.

– Te wszystkie pieczętki mają zapewne mną wstrząsnąć?

– Trzeci akapit od góry – powiedziałem znużonym tonem.

Znowu byłem głodny.

– „Major Razumowski dokooptuje w Leningradzie do powołanego decyzją Gławkoma zespołu członków służb i wojsk, jakich uzna za przydatnych w prowadzonym przez siebie śledztwie” – przeczytał na głos. – To wszystko? – spytał z udaną beztroską.

Widać było, że ten fragment mu się nie spodobał, zadrzeć z oficerem desygnowanym przez samego Stalina to wyjątkowo głupi sposób popełnienia samobójstwa – fakt, że nigdy w życiu nie spotkałem Głównodowodzącego, nie miał nic do rzeczy. Jednak każde dochodzenie można dyskretnie sabotować, dlatego wskazałem mu jeszcze jeden punkt.

– „Działania zespołu dochodzeniowego podlegać będą wyłącznie ocenie Gławkoma”... – czytał coraz wolniej Kutiepow.

– Teraz rozumiecie, pułkowniku?

Ponieważ milczał, postanowiłem doprecyzować.

– Kiedy tylko skończymy naszą rozmowę, zejdę do pokoju łączności złożyć swój codzienny raport, ponieważ towarzysz Stalin chce być na bieżąco informowany o sytuacji, i zamelduję o fakcie włączenia do śledztwa doświadczonego pracownika leningradzkiego NKWD, pułkownika Kutiepowa. Od sukcesu mojej, a właściwie teraz naszej już misji zależy los Leningradu. W razie niepowodzenia cały zespół zostanie rozstrzelany. Tak przypuszczam – dodałem. – Gdyby nawet udało się wam jakimś cudem uniknąć śmierci, wylądujecie w łagrze. A wiecie, co więźniowie robią z byłymi bezpiecniakami...

Mimo panującego w pomieszczeniu chłodu – ze względu na przechowywane w gabinecie dokumenty nie ogrzewano go, zbyt łatwo byłoby zaproszyć ogień – na czole mojego rozmówcy pojawiły się krople potu. Wiedział.

– Co... co mam zrobić? – wyjąkał.

– Na początek udostępnić mi akta Bieliajewa. Muszę sprawdzić jego kochankę, ma chyba na imię Wiera – odparłem. – Chcę ją przesłuchać i wolałbym, abyście to wy dokonali aresztowania i umieścili tę babę w takim miejscu, żebym...

Kutiepowa poderwał się z fotela i podszedł do jednego z regałów.

– Bieliajew, Bieliajew... – zamruczał, wodząc palcem po grzbietach ciasno upakowanych teczek. – Nie trzymam w tym miejscu wszystkich dokumentów – wyjaśnił. – Mamy specjalne archiwum na parterze, ale Bieliajew jest pułkownikiem, więc jego dossier powinno tu być.

– Nie znacie go?

Enkawudzista westchnął i spojrzał na mnie z politowaniem.

– W Leningradzkim Okręgu Wojskowym służy ponad stu dwudziestu pułkowników, nie znam osobiście nawet połowy. Jest – powiedział, wyjmując ze stęknieniem sporą kartonową teczkę.

Rzucił z trzaskiem akta na biurko, zdmuchnął kurz i zaczął przeglądać. Cofnąłem wyciągniętą odruchowo po dokumenty rękę.

– Te dane, jak i nasze archiwum – skinął w stronę regałów – są oczywiście do waszej dyspozycji, majorze, ale sam znajdę szybciej notatkę o znajomych Bieliajewa. Osobiście ją sporządzałem.

W głosie Kutiepowa nie zauważyłem agresji, raczej chłodną uprzejmość, co wcale mi się nie spodobało. Świadczyło o inteligencji. Najwyraźniej Kutiepowa zrozumiał od razu, że jesteśmy chwilowo od siebie zależni, niczym para akrobatów na trapezie. Jednak później, kiedy skończy się wspólny występ, przyjdzie czas na wyrównanie rachunków, to było równie pewne co zachód słońca...

– Wiera Bachałowa, dwadzieścia dziewięć lat, kapitan wojsk łączności – powiedział, nasadziwszy na nos binokle. – Jeśli chcecie, za godzinę pani kapitan będzie na was czekała... – zastanowił się przez chwilę – w Jedenastce. Przydzielić wam samochód? – spytał troskliwie.

Podziękowałem uprzejmie. Co prawda więzienie numer jedenaście Leningradzkiego Garnizonu Wojskowego znajdowało się kawał drogi od sztabu, ale dzięki generałowi Manuilskiemu miałem już transport.



Najpierw zatroszczyłem się o raport i zameldowałem o dokooptowaniu do ekipy śledczej pułkownika Kutiepowa, lepiej nie kusić losu, w końcu wypadki chodzą po ludziach: śmierć z wychłodzenia, napad kanibali czy przypadkowy postrzał to rzeczywistość skutego lodem Leningradu. Nikt by się nie zdziwił, gdyby dopadła i mnie. Wolałem, jak to mawiano przed rewolucją, nie wodzić na pokuszenie swojego nowego współpracownika... Teraz gdy włączyłem Kutiepowa formalnie do zespołu, zrobi, co w jego mocy, aby nic mi się nie przytrafiło, w przeciwnym

razie musiałyby jako najstarszy stopniem poinformować Głównodowodzącego o postępach śledztwa. I przyjąć za nie odpowiedzialność. A miałem nieodparte wrażenie, że wołałby tego uniknąć... No i nie dziwota – ojczulek Stalin nie znał się na żartach, a misja była ważna, ważniejsza, niż ktokolwiek mógłby na pierwszy rzut oka przypuszczać. Wbrew niemieckiej propagandzie przełamanie obrony Leningradu okazywało się niemożliwe. No bo i jak? Od zachodu Zatoka Fińska z polami minowymi, przez które nie prześlizgnęłoby się nawet czółno, dodatkowo pilnowana przez działa twierdzy morskiej Kronsztad i potężną Flotę Bałtycką: dwa krążowniki, dwa pancerniki, trzynaście niszczycieli, kilkanaście dozorowców, ponad czterdzieści okrętów podwodnych, dziesiątki kutrów torpedowych... Na wschodzie jezioro Ładoga strzeżone przez Flotyllę Ładoską. A wszystko to w sytuacji, gdy Niemcy o jednostkach pływających podobnej klasy mogli jedynie pomarzyć, ich marynarka miała inne zajęcia. Od północy budowany przez dwadzieścia lat Karelski Rejon Umocniony obsadzony przez 23. Armie generała Pszennikowa, nie bez kozery zwany „Tarczą Leningradu”. Na odcinku południowym – stosunkowo najbardziej narażonym na atak – rozmieszczono Newską Grupę Operacyjną oraz 8., 42. i 55. Armie, osłonę z powietrza zapewniały setki samolotów 7. Korpusu Myśliwskiego, pułków lotniczych 23. Armii i Floty Bałtyckiej... Nie, w otwartym boju Niemcy nie mieli szans. Pozostawała jednak inna możliwość – zagłodzenie miasta. Co prawda nie było mowy, by wróg opanował jezioro Ładoga, ale nie wykluczało to ostrzału artyleryjskiego czy bombardowania wiodącej przezeń „Drogi Życia”. Już dwukrotnie Niemcy uniemożliwili transport żywności, gdyż poszukiwani przeze mnie kanibale wymordowali mające ubezpieczać operację aprowizacji Leningradu patrole piechoty morskiej, co pozwoliło zwiadowcom wroga na skuteczne kierowanie ogniem własnej artylerii. Wystarczyło parę tygodni, aby wśród twardych, zahartowanych żołnierzy Floty Bałtyckiej zaczęły się szerzyć panikarskie nastroje i budzące grozę plotki na temat sekty ludojadów. Spadło morale i mimo grożących za niesubordynację w obliczu wroga drakońskich kar odnotowano pierwsze przypadki odmowy wykonania rozkazu. Wszystkie dotyczyły służby patrolowej w okolicach atakowanej przez kanibali „Drogi Życia”. Dlatego Głównom kom się niecierpliwił, jeszcze trochę i polecą głowy...

Załatwiwszy sprawy w dziale łączności, odesłałem Riumina i zszedłem do magazynów, królestwa Nadii Elizarowny. Już na schodach usłyszałem jej głos. Otulona w futro z jenotów dyrygowała grupką przenoszących worki z mąką szeregowców. Ci zwijali się jak w ukropie – Nadia nie dawała sobie w kaszę dmuchać, a etat w sztabowej kuchni był marzeniem każdego niemal żołnierza. Tu nikomu nie groził głód, nawet niski stopniem personel jadał lepiej niż frontowi pułkownicy.

– Witaj, kochanie – wymruczałem, obejmując Nadię w talii.

– Saszka, łobuzie! – Trzepnęła mnie w ramię z udanym gniewem. – Gdzieś ty się podziewał?!

– Trwonilem czas na domysłach, co masz pod tym futrem – skłamałem szarmancko, gładząc ją po pupie.

Nie była brzydka, choć może nieco zbyt pulchna – ryzyko związane z funkcją, jednak dręczony głodem miałem nadzieję co najwyżej na dodatkowy posiłek. Zresztą co tu gadać, nie tylko ja tak reagowałem – statystycy prognozowali drastyczny spadek urodzeń, a ilość gwałtów w, było nie było, liczącym mimo ewakuacji ponad milion mieszkańców mieście spadła prawie do zera. Można by ukuć nowy slogan: „Głód gwarantem moralności”. No, przynajmniej w tej dziedzinie, bo w innych nie za bardzo...

Zachichotała, ale odepchnęła mnie lekko.

– Przyjdź po południu – szepnęła. – Teraz jestem zajęta.

– Niestety, służba nie drużba – powiedziałem. – Nie dam rady. Ja właśnie w sprawie służbowej, gołąbeczko.

Złapawszy Nadię za rękę, zaciągnąłem do jednego z otwartych pomieszczeń magazynowych. Na jej twarzy pojawił się wyrozumiały uśmiech właściwy kobietom nieustannie otaczanym męską atencją, lecz oczy zdradzały zniecierpliwienie.

– Mówiłam ci, że nie mam czasu – prychnęła ostrzej.

Bez słowa podsunąłem wystawiony przez Manuilewskiego dokument uprawniający do pobierania racji żywnościowych majora. Przeczytała szybko pismo, zerknęła na mnie spod opuszczonych rzęs.

– W czym mogę pomóc... majorze? – spytała.

Przechyliła nieco głowę, kokieterijnym ruchem odgarnęła opadające na czoło włosy, wyprężyła kształtne biust. No tak – dla majora warto się postarać, co innego jakiś marny poruczniczyna... Nie bałem się dekonspiracji, dokument nie precyzował mojej funkcji, zapewne wzięła mnie za jednego z wszechobecnych pasożytów sztabowych, niemal każdy z nich przygotowywał mniej czy bardziej tajny raport. Jak mawiał Dzierżyński: „Ufać, ale kontrolować”. Nic nadzwyczajnego, ludziska się przyzwyczaili.

– Chciałbym odebrać racje na tydzień naprzód.

– To sporo waży...

– Mam samochód – uciałem. – Dasz radę przygotować wszystko na jutro?

– Oczywiście – zapewniła. – To wszystko, towarzyszu majorze?

Zawahałem się na chwilę – pytając o kochankę Bieliajewa, mogę wzbudzić w Nadii podejrzenia, z drugiej strony, jeśli coś wie... Śledztwo postępowało powoli, na razie nie mogłem się pochwalić szczególnymi sukcesami, a czas naglił.

– Co wiesz na temat Wiery Bachałowej? – zdecydowałem się wreszcie.

Wątpiłem, aby zaczęła rozpuszczać plotki na mój temat, nawet jeżeli się domyśli, że nie pytam z czystej ciekawości. My, ludzie radzieccy, już dawno nauczyliśmy się, że lepiej nie zaglądać władzy w rękaw.

Wydeła z namysłem usta, nadal nie patrząc mi w oczy, tak jakby wolała kontemplować brudną betonową podłogę.

– Niewiele mogę o niej powiedzieć – odparła w końcu. – Rzadko ze mną rozmawia, uważa się za klasę wyższą, jak i cała reszta tych sztabowych kurewek. Słyszałam, że pomagała szykować menu na przyjęcie u Bondaruka.

Skinąłem odruchowo głową, to by się zgadzało.

– Dlaczego akurat ona? Myślałem, że prędzej ty...

Tym razem podniosła wzrok, zmierzyła mnie kąpiącym spojrzeniem.

– Jej kochanek Bieliajew odpowiada za zaopatrzenie, sam rozumiesz, czasem coś się zawieruszy po drodze... Dlatego ludzie starają się z nią dobrze żyć, w razie czego jest w stanie załatwić to i owo.

– Ale nie tyle, co ty – stwierdziłem domyślnie.

Uśmiechnęła się skromnie, choć nie odpowiedziała. Nie musiała, sam czasem korzystałem z „wygospodarowanej” przez Nadię dodatkowej żywności. Nie żeby było tego wiele, szefowa kuchni lubiła mnie co prawda, ale raczej nie miałem szans, żeby zostać miłością jej życia.

– Dlaczego Wania nie zwrócił się do ciebie?

– To twój kumpel. – Wzruszyła ramionami. – Dla mnie to tylko jeden z wielu majorów.

No tak... Znaczy za wysokie progi na Wańki nogi. I kto tu mówił przed chwilą o klasie wyższej? Ech, baby...

– A skąd to zainteresowanie Bachałową, towarzyszu majorze? Chcecie mnie wymienić na nowszy model?

– Słyszałem, że NKWD chce jej zadać kilka pytań – skłamałem bez żenady. – Nie bardzo orientuję się, o co chodzi, jednak nie sądzę, aby dalej robiła ci konkurencję.

– Chodzi o dostawy? – spytała szybko. – Jakaś kontrola?

Po raz pierwszy widziałem Nadię przestraszoną. No tak – mogła być po imieniu z większością generałów, ale gdyby padł na nią czujny wzrok naszych czekistów, żaden ze sztabowców nie wystąpiłby w jej obronie. Nie śmiałby. A nie wątpiłem, że wolałaby uniknąć zbyt dociekliwych pytań na temat dystrybucji powierzonych jej dóbr. Pewnie nie kradła więcej niż inni, lecz w odpowiednich okolicznościach to aż nadto. Obecnie najbardziej popularną w Leningradzie przyczyną wydawania wyroków śmierci był bandytyzm. Podciągano pod ten termin wszystko: od kanibalizmu czy napadów rabunkowych po kradzieże i defraudację mienia. Pewnie znalazłby się paragraf i na Nadię. A może nawet kilka?

Roześmiałem się swobodnie, widząc pełną niepokoju twarz szefowej kuchni.

– Może o tym porozmawiamy? – wymruczałem, przymykając kopniakiem drzwi.

Z jakichś przyczyn poczułem podniecenie, po raz pierwszy od dłuższego czasu. Może sprawiła to zmiana sytuacji? Tym razem to Nadia potrzebowała czegoś ode mnie. Riumin mawia, że poczucie władzy to najlepszy afrodyzjak.

Wyłuskałem Nadię z futra, pchnąłem w stronę brudnego, niedbale

oheblowanego stołu. Jęknęła zmuszona do oparcia się o blat, ale nie zaprotestowała. Nie nosiła na sobie wielu ubrań – przez większość czasu przebywała w dobrze ogrzewanych pomieszczeniach, więc już po chwili uniosłem spódnice i poczułem pod palcami pulchne pośladki. Wszedłem w nią po krótkich pieszczotach, bez zbędnych ceregieli – wyglądało, że sytuacja jest i dla Nadii wystarczająco podniecająca. Szczytowała w chwilę później, wydając urywane, przeszywające okrzyki. No cóż, najwyżej paru żołnierzy na korytarzu dojdzie do wniosku, że towarzysz porucznik nie traci czasu...

Zapiąłem rozpiętkę i pomogłem kobiecie doprowadzić się do porządku. Syknęła, podnosząc zakrwawioną rękę. Drzazga. Jednym ruchem wyszarpnąłem drewnianą zadkę, ucałowałem dłoń, czując słony smak krwi.

– Już nie boli? – spytałem z uśmiechem.

– Nie – burknęła. – Na drugi raz, towarzyszu...

– Postaram się być delikatniejszy – wszedłem jej w słowo.

– Może jutro przywiozę ci twój przydział? – zaproponowała nieoczekiwanie. – I tak jadę ciężarówką do portu, marynarze świętują, jakiś kontradmirał dostał awans, więc mogę zabrać skrzynkę czy dwie więcej.

– Chętnie, mieszkam na Marata, pod szóstką, trzecie piętro, mieszkanie numer dwadzieścia siedem.

– To ta uliczka niedaleko dworca?

Przytaknąłem. Zanim wyszedłem, wsunęła mi do kieszeni kozucha butelkę koniaku i płaską, owiniętą w przetłuszczony papier paczkę – suszone owoce, prawdziwy rarytas w oblężonym Leningradzie. No, no... Nie zapytała повторно o Bachałową, doceniłem tę powściągliwość.

– Nie chodzi o kradzież żywności – zapewniłem, szczypiąc Nadię na odchodnym w policzek. – Śpij spokojnie.

Naburmuszyła się ponownie, choć wyraźnie jej ulżyło. No cóż, nie dość, że była bezpieczna, to jeszcze pozbędzie się konkurencji. Wątpiłem, by Bieliajew kontynuował swój proceder, nawet jeśli ominie go śledztwo, co wcale nie było takie pewne. W trakcie umiejętnie prowadzonego przesłuchania podejrzani przypominali sobie nieprawdopodobne ilości własnych i cudzych grzechów. A cokolwiek by powiedzieć o NKWD, śledczych miało kompetentnych, nad wyraz kompetentnych...



Spodziewałem się, że jadąc samochodem – skorzystałem z przydzielonego mi rozkazem Manuilewskiego transportu – oderwę się wreszcie od codziennych bolączek oblężonego miasta. Głupiec, głupiec... Dopiero teraz, siedząc w wygodnym aucie, może nie rozgrzany, ale z pewnością wolny od ukąszeń lodowatego wiatru, zauważyłem leżące na ulicach, zamrożone ciała.

Przemierzając ulice pieszo, widziało się tylko to, co pod nogami. Czasem majaczył gdzieś z boku niewyraźny, przysypany śniegiem kształt, ale wyciskający łyzy z oczu mróz nie zachęcał do rozglądania się, ciekawość ginęła zabijana udręką ciała. Teraz, wieziony nie za szybko, choć i niezbyt wolno do garnizonowego więzienia, miałem wrażenie, że jadę alejkami jakiejś koszmarnej, rozciągającej się w nieskończoność kostnicy. Mijaliśmy zwłoki, setki zwłok. Kierowca coś mówił – musiałem natrafić na towarzyskiego szofera – lecz jego głos huczał mi w uszach jak po ostrym strzelaniu, dźwięki dochodziły z opóźnieniem, jakby musiały się przedrzeć przez gęstą, na wpół zastygłą masę. Milczałem. Gdy mijaliśmy bulwar Smoleński, usłyszałem czyjś ryk, wozem zarzuciło, kiedy kierowca wykonał mój rozkaz – dopiero teraz dotarło do mnie, że kazałem mu stanąć. Na chodniku leżała kobieta, w objęciach trzymała kilkumiesięczne na oko, opatulone w stary płaszcz dziecko, śnieg wokół barwił się na czerwono. Wypadłem z wozu, podbiegłem. Zrzuciła okrycie z głowy – obok leżał postrzępiony kraciasty koc – i wyła ponuro, ukazując światu pokrwawione usta, rozwarte szeroko, oszalałe oczy. Trzymany przez wariatkę w ramionach tłumok poruszał się jeszcze, ale widziałem, że z każdą chwilą słabiej i słabiej. Wyrwałem jej niemowlę, rozwinąłem tobół – dzieciak miał przegryzione gardło. Przystawiłem tokariewa do ucha kobiety, nacisnąłem spust. Opadła bezwładnie na śnieg, do otulonych niewidzialną watą uszu przedarły się trzy suche trzaski.

– Panie ...czniku, ...czniku! Panie poruczniku! – Szofer szarpał mnie za rękaw.

Lunatycznym ruchem skierowałem lufę w jego stronę, odskoczył w tył z przerażeniem w oczach.

– Jedziemy! – zarządziłem drewnianym, nieswoim głosem.

Przez uliczny głośnik ktoś recytował z pasją wiersz Baudelaire’a:

*Dzwony nagle z wściekłością dziką się rozzwonią,
Śląc do nieba rozpacz szalejący głos.
Jak duchy potępieńców, co od światła stronią
I nocami się skarżą na swój straszny los.*

*A w duszy mej pogrzeby bez orkiestr się wloką,
W martwej ciszy – nadziei tylko słysząc jęk,
Na łbie zaś mym schylonym, w triumfie, wysoko,
Czarny sztandar zatyka groźny tyran – Lęk.*

Zatrzasnąłem z hukiem drzwiczki samochodu, ruszyliśmy. Miejskowa rozgłośnia radiowa nadawała utwory poetyckie na zmianę z najnowszymi informacjami – w celu podtrzymania morale. Pomysł nie był głupi, mieszkańcy Leningradu od zawsze słynęli z zamiłowania do liryki – nie zaszkodziło im o tym przypomnieć, w momencie kiedy nadszedł czas totalnego chaosu, ale wydawało się, że dobór tekstów pozostawia nieco do życzenia... Wiedziałem jednak, że

radiowcy otrzymali od władz carte blanche, mogli mówić o wszystkim z jednym jedynym wyjątkiem – głodu. Ten temat był tabu w Leningradzie.

– Co za suka! – odezwał się kierowca, najwyraźniej odzyskując nadwątloną widokiem broni odwagę. – Inne matki oddają dzieciom swój przydział żywności i umierają...

– Milczeć! – warknąłem.

Nie miałem ochoty wysłuchiwać rozważań na temat moralności. Nie teraz. Szofer posłusznie ucichł. Wiedziałem, że ma rację – rzeczywiście, po oddaniu własnych racji dzieciom umierało z głodu tak wiele matek, że sformowano specjalne patrole, które sprawdzały regularnie, czy w mieszkaniach pozostał ktoś żywy. W wielu rodzinach jedynym dostarczycielem jedzenia była matka, ponieważ ojcowie przeważnie przebywali na froncie, po jej śmierci szybko umierały także młodsze dzieci, starsze wychodziły czasem na ulice żebrac i kraść, usiłując desperacko wytargować od losu kilka dodatkowych dni. Bez specjalnego powodzenia – leningradzcy nie mieli już czym się dzielić, a kariera młodocianych złodziei trwała zazwyczaj krótko; tych, którzy ukończyli dwanaście lat, karano śmiercią jak dorosłych. Za bandytyzm.

Wjechaliśmy na dziedziniec więzienia; kierowca zawinął autem w ciasnym skrócie, czy to popisując się, czy też chcąc okazać dezaprobatę wobec mojego zachowania – w efekcie brawurowego manewru poleciałem na bok, boleśnie uderzając się w łokieć – i ustawił wóz obok paru innych na specjalnie wydzielonym parkingu. Wsiadłszy bez słowa, pomaszerowałem do biura naczelnika, po załatwieniu niezbędnych formalności zażyczyłem sobie widzenia z Bachałową. Wyznaczony na przewodnika strażnik poinformował mnie, że kobieta jest właśnie przesłuchiwana. Mimo kiepskiego nastroju uśmiechnąłem się pod nosem – najwyraźniej mój przyjaciel z NKWD nie zasypiał gruszek w popiele, ot, co znaczy odpowiednia motywacja...

Nie wiem, co widział w niej Bieliajew, być może kiedyś była ładna. Teraz jej uroda należała do przeszłości; półnaga, w porwanej bluzie mundurowej, ze zwisającymi, sinymi z zimna piersiami, na których dostrzegłem kilka śladów po oparzeniach, nie wzbudziłyby zainteresowania w żadnym mężczyźnie. Obrzmiała, fioletowa twarz sugerowała, że przesłuchanie trwa już jakiś czas. Bachałowa siedziała na przyśrubowanym do betonowej podłogi stołku, otaczało ją trzech oficerów NKWD, w tym Kutiepow. Wywołałem go na korytarz skinieniem głowy, kiedy wyszedł, poprosiłem o sprawozdanie. Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, podsunął uprzejmie. Poczęstowałem się chętnie, znowu czułem głód, a dłonie zdrętwiały mi z zimna – cele nie były ogrzewane. Zapaliliśmy.

– Co z nią? – spytałem.

– Przyznała się do przyrządzenia gulaszu z ludzkiego mięsa – poinformował Kutiepow. – Ale – wydmuchnął dym energicznie – mieliście nosa, towarzyszu, jest w tym też coś więcej. Chciała dostać się do sekty, do Doskonałych.

Mimo wygłoszonego z pełnym uznania uśmiechem komplementu oczy

enkawudziści pozostali czujni i podejrzliwi.

– Oni przecież zjadają serca. – Zmarszczyłem brwi. – A ten gulasz był...

– Gulasz to tylko preludium, część rytuału – wszedł mi w słowo. – Nazywają to „zatrata duszy” – poinformował z ironią. – Zanim zostaną zaakceptowani przez mistrza... tak, jest ktoś taki... muszą udowodnić, że porzucają wszelkie zasady moralne. Dlatego zabijają i dopuszczają się kanibalizmu, spożycie serca to komunia, ukoronowanie długiej drogi. Wszystko razem ma im przynieść wyzwolenie od ograniczeń ludzkiej egzystencji, wierzą, że zjadłszy serce własnoręcznie zabitego człowieka i otrzymawszy błogosławieństwo mistrza, osiągną status półboga.

– A konkretnie? Poza odpornością na zimno?

Już wymawiając te słowa, wiedziałem, że popełniłem błąd – przeklęty, odmóżdżający głód! Nie wspomniałem Kutiepowi wcześniej o tym, co powiedziała mi córka dozorczyńni – ba! – nie zapytałem nawet dziewczyny, jak się nazywa, teraz trudno będzie wytłumaczyć, że nie zrobiłem tego celowo, nie ukryłem informacji.

Westchnąłem ciężko i zgasiwszy niedopałek papierosa, spojrzałem prosto w oczy Kutiepowa.

– Przesłuchałem osobę, która uszła cało z zasadzki sekciarzy. Twierdzi, że oni nie czują chłodu. Ani strachu – dodałem po namyśle. – Być może dlatego właśnie nazywają się Doskonałymi.

Milczał przez chwilę, mierząc mnie wzrokiem z natężoną, wręcz kliniczną uwagą. Zamarłem jak zahipnotyzowany, jeśli dojdzie do wniosku, że za jego plecami prowadzę jakąś grę... Wreszcie pokręcił głową – lekkim, niemal niezauważalnym ruchem, sam nie wiem, czy litując się nad moją naiwnością, czy też nie dowierzając, że mogę być tak głupi.

– Powinienem być informowany na bieżąco – stwierdził.

Przytaknąłem gorliwie i zrelacjonowałem wszystko, czego dowiedziałem się od dziewczyny.

Wysłuchał mnie bez słowa, stukając odruchowo brzegiem dłoni o metalową framugę drzwi; palce: środkowy, serdeczny i wskazujący zgiął w taki sposób, że ich czubki ułożyły się w równą linię, żaden nie wystawał. Tuk, tuk – przerwa – tuk, tuk, tuk. Widać naprawdę przejął się nowinkami, na moment stracił czujność. W taki sposób uderza się, aby zmiażdżyć krtań, tętnicę szyjną, zdruzgotać skroń. Znaczący towarzysz Kutiepow nie jest jedynie urzędasem. Warto zapamiętać.

– Co mamy zrobić z Bachalową? – zapytał, gdy skończyłem.

– A co mnie to obchodzi? – Wzruszyłem ramionami. – Zna kogoś z sekciarzy? Wyjawiała, skąd brała... mięso?

– Sądziła, że tamci ją obserwują i jeśli dostatecznie „splugawi duszę”, nawiążą kontakt. Nie można powiedzieć, starała się... A ludzkie mięso wzięła podobno z cmentarza przy dworcu, tam jest sporo niepogrzebanych ciał, grabarze nie nadążają.

- Warto sprawdzić, czy nie skłamała – zauważyłem.
- To znaczy? – zmarszczył brwi enkawudzista.
- No, te zwłoki – mruknąłem. – Czego w nich brakuje, czy – skrzywiłem się – polędwicy, czy może jednak serca.

Zacisnął usta, znowu zadźwięczała uderzana kantem dłoni framuga. Tuk, tuk, tuk.

- Przyprowadziliśmy tu Bieliajewa, widziała go – poinformował. – Nie sądzę, aby... – urwał wymownie.

Też nie sądziłem. Nie przypuszczałem, żeby upokorzona, pozbawiona nadziei na pomoc swego protektora – ekipa NKWD musiała to wyeksponować, byli fachowcami – kobieta skłamała. Może kazali pułkownikowi oskarżyć Bachałową, dali do zrozumienia, że uwierzą w jego wersję? – oczywiście, jeśli obwini kochankę... Przymus fizyczny, jaki zastosowali, był raczej symboliczny; kilka policzków, przypalanie papierosem – tylko tyle, żeby zrozumiała, że jest na ich łasce, że mogą zrobić z nią wszystko. Dość, by śmiertelnie wystraszyć, zbyt mało, żeby wywołać traumę skłaniającą do uprzedzania życzeń śledczych, konfabulacji w celu uniknięcia bólu. Jednak nie mogłem kierować się przekonaniem, nie w tej sprawie, stawką było życie. Głównie dodałby pewnie, że przede wszystkim los Leningradu...

- Jednak lepiej sprawdzić, sami rozumiecie, towarzyszu – odparłem stanowczo.
- W razie pomyłki będziemy tłumaczyć się przed...

Powstrzymał mnie niecierpliwym gestem.

- No dobrze – zdecydował. – Jedziemy.



ROZDZIAŁ DRUGI

Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.



ROZDZIAŁ TRZECI

Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.



ROZDZIAŁ CZWARTY

Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.



ROZDZIAŁ PIĄTY

Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.



ROZDZIAŁ ÓSMY

Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.



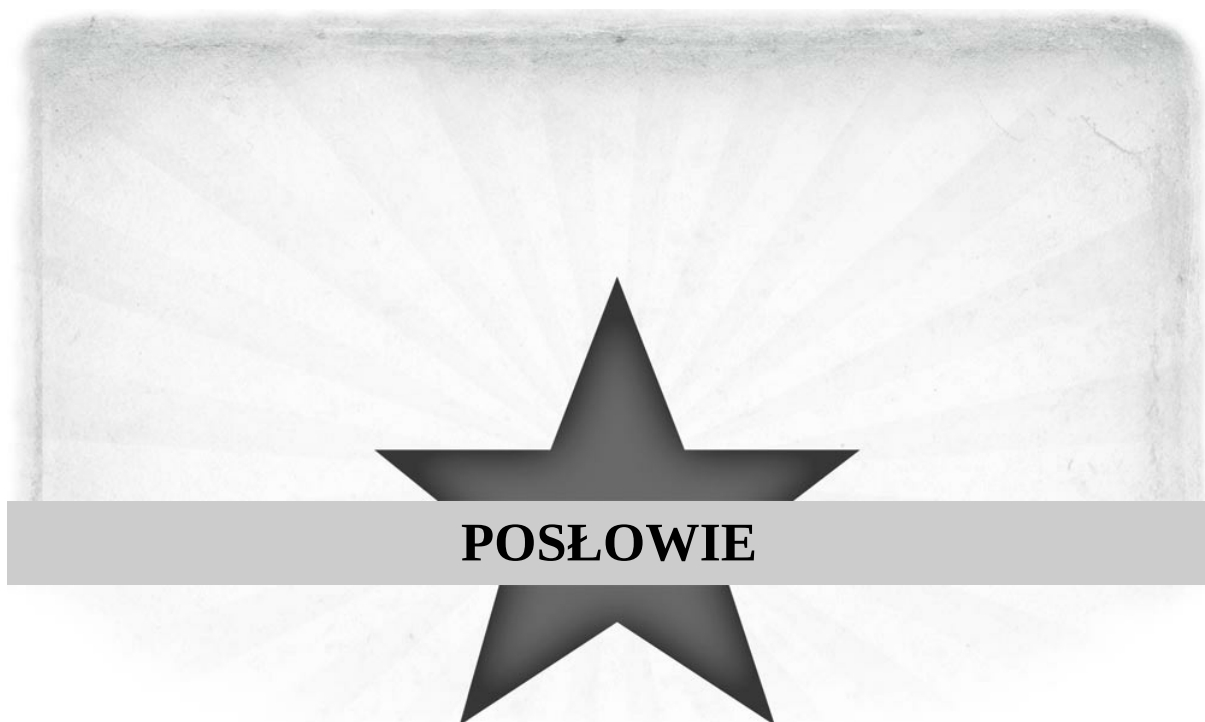
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.



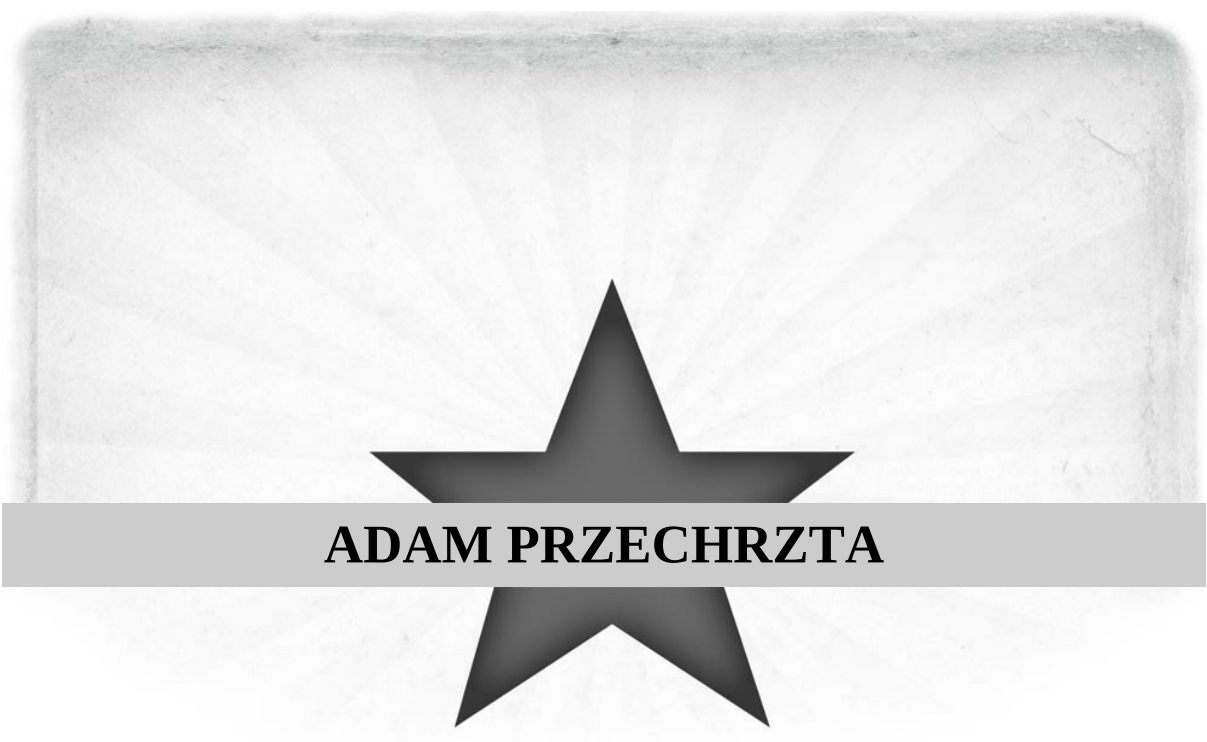
ROZDZIAŁ JEDENASTY

Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.



WIERSE, PIOSENKI, TŁUMACZENIA I CIEKAWOSTKI

Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.



ADAM PRZECHRZTA

Historyk, doktor nauk humanistycznych, pedagog, autor artykułów na temat historii, sztuk walki nożem i okinawańskiego karate. Interesuje się działaniami służb specjalnych. Jako pisarz zadebiutował w 2006 roku, od tego czasu wydał pięć powieści oraz tom opowiadań. Zwolennik czytania przy jedzeniu. Czytuje wszystko, od podręczników pszczelarstwa, poprzez literaturę głównonurtową i fantastyczną, aż po romanse dla pań. Te ostatnie przeważnie w poczekalni u dentysty. Marzy o świętym spokoju.

Książki Adama Przechrztzy
wydane nakładem naszego wydawnictwa

1. Pierwszy krok
2. Chorągiew Michała Archaniola
3. Wilczy Legion
4. Białe noce
5. Demony Leningradu
6. Demony wojny – część 1

COPYRIGHT © BY Adam Przechrzt
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., 2011

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-617-4

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI Paweł Zaręba

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE Matej Toman

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Magdalena Byrska, Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ Dariusz Nowakowski

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

ADAM PRZECHRZTA

DEMONY LENINGRADU

**Koszmar, który dusi grozą
nawet zimne, bezlitosne serce
Ławrentija Berii.**

**Ulicami udręczonego głodem,
oblężonego Leningradu prze-
myka wcielona Śmierć.**

Coś więcej niż oszaleli z roz-
paczy kanibale, żerujący na
trupach poległych towarzy-
szy. Coś, co nawet w ludziach,
którzy przetrwali stalinow-
skie czystki oraz furję dywizji
Wehrmachtu czy Waffen-SS
powoduje skrajne przerażenie.



Kiedy ryczą działa, budzą się demony.

Istoty, których istnienie nie mieści się
w bolszewickiej ideologii. Tam, gdzie nie
wystarcza rozkaz Stalina, furia Berii i be-
stialstwo katów z NKWD – tam wkraczają
do akcji drużyny GRU – wojennej rozwiadki.



facebook.com/fabryka

Wyłączny
dystybutor



Patroni medialni



Spis treści

Karta tytułowa	3
Depozytariusz Chorągwi Archanioła	4
Rozdział pierwszy	6
Rozdział drugi	28
Rozdział trzeci	29
Rozdział czwarty	30
Rozdział piąty	31
Rozdział szósty	32
Rozdział siódmy	33
Rozdział ósmy	34
Rozdział dziewiąty	35
Rozdział dziesiąty	36
Rozdział jedenasty	37
Posłowie	38
Adam Przechrzta	39
Książki Adama Przechrzty	40
Karta redakcyjna	41
Okładka	42